ROZMAITOŚCI.

Dnia 24 kwietnia, N.er 17. roku 1847.

DZWÓNEK ŚMIERTELNY.

Raz w lecie późnym wieczorem zajechała pewna angielska rodzina do jednego z najpierwszych hotelów w Frankfurcie. Składała się ona z ojca i dwóch córek, którym towarzyszył narzeczony starszéj siostry, nazwiskiem Frank Kennedy. Bylito uprzejmi, weseli ludzie, i mieli wszelki powód do zadowolenia ze świata. Ojciec, pan Allen, należał do najzamożniejszych kupców londyńskich, zajmował bardzo zaszczytne stanowisko w towarzystwie, i chyba w tém tylko szukał chluby dla siebie, iż własną pracą dostąpił znaczenia i majątku. Córki jego były bardzo światłe dziewczęta, przytém śmiałe i hoże. Historyja obojga kochanków nie miała w sobie nic romantycznego; poznali się byli na balu, gdzie piękność Gertrudy silne na młodym Kennedym uczyniła wrażenie, podczas gdy bystre i dowcipne uwagi Kennedego, pannę wielce bawiły. Byłato jedna z owych miłych chwil w życiu, które jeszcze po latach, jak piękny sen radują duszę; lecz sen naszych kochanków został urzeczywiszczonym. Kennedy prosił o pozwolenie, aby mógł nazajutrz państwo Allen odwidzić, i przekonał się, że Gertruda również i w kole domowém uchodziła za dobroczynnego jenijusza rodziny i pogodnego jéj pożycia; przekonał się, jak dumnym był jéj ojciec z posiadania takiéj córki, jak serdecznie młodsza siostra do niéj przywiązaną była — przeco po niejakim czasie, i jemu wcale naturalną rzeczą się zdało, pokochać ją z całéj duszy, a Gertruda uwierzyła mu z całą ufnością młodego serca, gdy jéj miłość swą wyznał.

Frank Kennedy znał się już nieco na przemyśle handlowym, a dla przypodobania się swemu przyszłemu teściowi, oświadczył mu, iż życzy sobie nabyć bliższych wiadomości w téj mierze; w dowód czego włożył połowę znacznego majątku swego w handel pana Allena. Wynikłe ztąd rozprzestrzenienie stosunków handlowych domu Allen, skłoniło obudwóch nowych spólników, zwidzić miasto Frankfurt, gdzie ojciec Gertrudy najważniejsze miał związki, a był on zanadto kochającym ojcem, aby omieszkać téj pożądanéj dla córek sposobności poznania kraju, któregoby inaczéj nigdy zapewne były nie widziały. Wesele zaś miało się odprawić w uroczystéj obecności wszystkich przyjaciół rodziny, zaraz po powrocie z podróży.

Najznakomitsze domy Frankfurckie, w które nasi podróżni wprowadzeni zostali; przyjęły ich z serdeczną gościnnością; wszakże kochankowie, jakto sobie łatwo wyobrazić możem; przenosili nad wszystkie zabawy towarzyskie spokojną, poufną przechadzkę po pięknéj okolicy zamiejskiéj, przyczém młodsza siostra, jedynie aby kochankom nie przeszkadzała, zwykła była przyjmować towarzystwo pewnego młodego doktora niemieckiego o trudném do wymówienia nazwisku. Piérwsze ich poznanie się ztąd poszło, iż siostra Gertrudy, Małgorzata — jeżli to tylko nie było skutkiem jéj niedokładnéj znajomosci języka niemieckiego — mniemała słyszéć raz w towarzystwie, jak ów młody doktor się dziwił: czemu się Kennedy w starszéj a nie raczéj w młodszéj, powabniejszéj siostrze zakochał. Bądź co bądź, zakochana para była rada téj sposobności zostawania sam na sam, i wszystkie też prawie osobliwości Frankfurtu w takiém rozdzieleniu się na dwie pary, zwidzano.

Mianowicie uderzyła naszych podróżnych dziwna sprzeczność, zachodząca między „Starém" a „Nowém miastem" Frankfurtu, których stopniowe łączenie się, dziwaczny w istocie przedstawiało widok. Wązkie uliczki i starodawne drewniane budynki Starego miasta; zdawały się znikać w cieniu wznoszących się wszędy pałaców, tak iż za lat kilka wszelkie ślady przeszłości zupełném zatarciem się wróżyły. Oglądano także sławny ratusz miejski, w którym elektorowie, rzymskich cesarzów obierali; dziwiono się spaniałemu tumowi, i zatrzymano sie z uwielbieniem przed domem, gdzie się urodził wielki poeta, twórca »Fausta«, odznaczającym się jedynie herbową tarczą ojcowską, wiszącą jeszcze nad drzwiami.

»Znasz pani więc Getego?« — zapytał zcicha

młody doktor, poglądając na wymowne oblicze Małgorzaty.

„Czytałam go w tłomaczeniu” — odpowiedziała dziewczyna skromnie.

„Aby Getego poznać, trzeba go czytać w oryginale.”

Małgorzata miała wielką ochotę do gruntownego poznania języka niemieckiego, i niejako pod skrzydłem tego wielkiego imienia, rozpoczęto naukę.

* * *

„Czy masz, ojcze, co do czynienia dziś z Kennedym?” — zapytała Gertruda jednego ranka pana Allen.

„Nie, moje dzieci; bawcie się z sobą, zupełnie według upodobania” — odrzekł ojciec, patrząc się z radością na wesołe oblicze córek, i życząc sobie, aby zawsze tak było.

Przechadzka ich dzisiejsza powiodła się jeszcze pomyślniéj i przyjemniéj, niż zazwyczaj. Powietrze było tak łagodne, niebo tak jasne, jak nam zawsze w młodości się wydaje, zanim cienie własnego, zasępionego wiekiem umysłu; nieba i ziemi nam nie ochmurzą. Ach, w nas to samych, a nie na niebie ani na ziemi, ta smutna zmiana zachodzi.

Według zwyczaju większéj części miast niemieckich, stała fórta głównego cmentarza otworem, a nasi młodzi ludzie weszli w wesołym humorze do środka; lecz cicha uroczystość miejsca, nastroiła naraz poważniéj ich wesoły umysł. Starodawny nieco pozór cmentarza nie miał w sobie nic osobliwego, owszem odznaczał się skromną prostotą; żaden kosztowny pomnik nie ścieśniał jeszcze bardziéj dość już szczupłéj przestrzeni; nigdzie nie widziano grządek z kwiatami, jak to w kwitnącéj Francyi bywa. Tylko gdzieniegdzie dawał się jaki samotny, wpółuwiędły wieniec postrzegać, lub wisiał oręż lub hełm, znamionujący grób wojownika. Zresztą stały wszędzie krzyże i nagrobki ciasno jeden przy drugim, podczas gdy tu i owdzie kilka starych drzew o zwieszonych ze starości gałęziach, przyjemnie urozmaicało melancholijny widok miejsca, i szumiąc padającém liściem, zdało się szeptać pomiędzy sobą: na które z nich przyjdzie najprzód kolej ustąpić nowéj mogile; jak to bowiem Karol Holcenhajzer obudwom siostrom opowiadał, było tu w zwyczaju, iż ścinano tych świadków lat minionych, im więcéj grobów przyrastało.

Gertruda usiadła na jednéj z mogił, i byłaby rada wiedziała, czy ten co pod tym kamieniem spoczywa, za młodu umarł, i czy zaznał miłości? I zdało się, jakby ją dziwne jakieś spółczucie dlań ogarnęło.

Doktor westchnął.

„Ach” — ozwał się po chwili. »Jużem tu raz też same słowa słyszał, i także z ust młodéj, pięknéj dziewicy. W rok późniéj zazdrościła ona tym, którzy wcześnie do nieba poszli.”

Gertruda wzdrygnęła się, jakby okropną usłyszała wróżbę.

„Ta, o któréj mówiłem, byłato moja siostra» — mówił doktór daléj, biorąc Małgorzatę znowuż pod ramię, gdyż nie wiedząc właściwie czemu, usunęła się była od niego.

„I dla czegożto jéj życie tak zbrzydło?» — zapytał Kennedy.

»Ponieważ ten, którego kochała, rozstał się z tym światem.”

„Gertrudo, tyś słaba?” — zawołała baczna siostra.

„Nie, już mi nic; tylkom nieco przeziębła. Nieprawdaż, że tu chłodno?”

Kennedy śmiał się, mówiąc, że Gertruda zapewne lęka się duchów, które w podobnych miejscach straszyć mają; na co odpowiadając kochanka, wyznała Kennedemu z cicha: iż chociaż niegdyś była istotnie bojaźliwą w téj mierze; jednakże od czasu poznania się z nim, tylko jedną czuje obawę; i ze łzami też w oczach poszepnęła mu do ucha, czego się dziś obawia; a Kennedy nachylił się ku niéj miłośnie, i całunkami łzy jéj susząc, łagodnémi uspokoił ją słowy. Małgorzata zaś i doktor szli według przyjętego zwyczaju razem o kilka kroków naprzód, udając że nic nie widzą, chociaż oboje poniekąd przykład swych towarzyszy naśladowali, ile że Małgorzata czegoś się lękać zdawała, a jéj przyjaciel na wzór Anglika, czułémi starał się rozweselić ją wyrazami.

W jednym kącie cmentarza było odosobnione miejsce na grobowce znakomitych i majętniejszych osób; tam w zacieniu rozłożystych jasionów przechadzał się stary człowiek, zmarszczkami pooranéj twarzy, którego długie, rzadkie włosy, były szronem starości pobielone. Nawet szata jego miała podobnież niepewną szarawą barwę. Małgorzata postrzegła go, gdy się na chwilę zatrzymał, i mniemała, iż to jest stary, omszony pomnik; dopiéro dotknąwszy go, i widząc jego mglisty, wpółsenny z tego powodu uśmiéch; przestraszyła się i cofnęła trwożnie ku siostrze.

„Biédny staruszek”— zawołała Gertruda na jego widok — „Przemów też panie Kennedy do niego.”

Kennedy zapytał starca, kto on jest, i co w tém samotném miejscu porabia?

„Pilnujemy umarłych” — odpowiedział starzec.

Kennedy miał go z początku za człowieka niespełna zmysłów, aż młody doktor mu wytłumaczył, iż tu jest trupiarnia, do któréj umarli we dwanaście godzin po śmierci zanoszeni bywają. „Jedyną różnicą,” — mówił Holchajzer daléj — „jaka tu między bogatymi a ubogimi zachodzi, jest, iż tamtych w lepiéj urządzonéj, czarno osłoniętéj, i lampą

oświetonéj komnacie umieszczają. Służy ten zakład na to, aby zapobiegać grzebaniu żywcem pozornie umarłych. Palce trupów kładą się w cienkie sznurki, przymocowane do dzwonka, który jest w izbie pilnującego trupiarza zawieszony. W ten sposób najmniejsze poruszenie ciała, jest dostatecznym znakiem do zwrócenia uwagi, a w oka mgnieniu przyspiesza pomoc lekarska. Piotr Hofman, którego państwo tu widzicie, ma obowiązek czuwać co nocy, a w dzień odwidza on swoję rodzinę, albo idzie, gdzie mu się podoba.»

„I zdarzyłoż się kiedy, że życie ludzkie w ten sposób ocalono?” — zapytał Kennedy.

»I owszem; mieliśmy kilka autentycznych wypadków tego rodzaju, wszelako muszę przyznać, iż to bardzo rzadko się zdarza, a najczęściéj wszelka ludzka pomoc na nic się nie przydaje.”

»Jakże przykro być musi» — ozwała się Gertruda uprzejmie do staruszka — »czuwać tak przez noc całą, i słuchać tego dzwónka śmiertelnego, czy przypadkiem który z umarłych do życia nie powrócił!»

„To się tylko zdaje tak strasznem, moja panienko.»

„Ale jakże się od snu ochronić możecie?

»Przez to, że się w dzień wyspię.»

„A jużeście, tak mi właśnie powiadano, nieraz słyszeli ten dzwónek?»

„O, bardzo często; a nawet w oddaleniu mil kilku, zwłaszcza wtedy, kiedy go nikt inny nie słyszał. Ale czasem, isotnie on się odzywa I nikt, kto go raz słyszał, nigdy już dźwięku jego zapomnieć nie może!

Gertruda wetknęła mu do ręki kilka złotówek, i zabrano się do odejścia, gdyż była już późna godzina; a z nimi oddalił się także starzec w przeciwną stronę, i widać było, że radośny uśmiech na twarzy mu się promienił.

„Zapewne teraz dla swéj Pauliny coś kupi” — rzekł doktor do Małgorzaty

»Któż jest ta Paulina?»

„Jego wnuczka, miłe dziewczątko, dla któréj starzec wszystko wydaje co tylko zarobi. Powiadają, że kiedyś ładny mająteczek po nim odziedziczy, gdyż Hofman nie jest wcale ubogim, a ocaliwszy raz w opisany powyżéj sposób, życie najstarszemu synowi barona F.; otrzymał od ojca jego liczne i kosztowne podarunki, które wnuczka z wielką radością pokazuje. Osobliwszą jest rzeczą, widzieć, jak się oboje kochają; a są oni ostatniémi potomkami swojéj rodziny.»

„Gertrudo!” — ozwał się Kennedy nagle — »gdybym miał umrzeć wcześnie, radbym umierać w Frankfurcie; gdyż lękam się od lat dziecęcych, aby mię żywcem nie pogrzebano! Jednakże nie chciałbym być poruczonym czuwaniu tego dziwnego starca. Czybyś też chciała wówczas miejsce jego zastąpić?»

»Panie Kennedy...» przejęła dziewica z boleśnym zarzutem; ale słowa zamarły jéj na uściech, odwróciła się od niego, i zaczęła płakać.

„O, tego za nadto panno Gertrudo; to niepotrzebne czułostki” — ozwał się kwaśno Kennedy.

„Przyznaję, i przepraszam, ale nie gniewaj się pan za to, jestem dziś istotnie cierpiącą» — odpowiedziała kochanka, zdając się być radą temu, iż znalazła wymówkę swego milczenia i płaczu, podczas gdy doktor z niechęcią pytanie sobie zadawał: czy też wszyscy Anglicy w tak samolubny sposób dręczą swoje kochanki, aby tylko nowe dowody miłości od nich wymusić.

W nocy po tym spacerze śniło się Małgorzacie ciągle o ciemnych, namiętnych oczach doktora, podczas gdy jéj siostrze, daleko nieprzyjemniejsze marzenia o starcu, który nad umarłémi czuwa, sen przerywały.

* * *

Tymczasem tygodnie mijały, zbliżał się dzień wyjazdu, a Kennedy i Gertruda coraz mniéj zajmowali się osobliwościami Frankfurtu i Niemiec, a coraz więcéj myślili o szczęśliwém spólném pożyciu, jakie ich w Anglii oczekiwało. Ile razy siostry sam na sam z sobą były, toczyła się prawie zawsze rozmowa o stroju ślubnym i przygotowaniach weselnych, chociaż Gertruda, gdyby nie tyle własnémi zajęta sprawami, byłaby z łatwością mogła postrzedz, iż Małgorzata często przewrotnie odpowiadała, częstokroć ze łzami w oczach, głęboko zadumana, kędyś daleko myślami błądziła, ani też najmniejszéj niecierpliwości wrócenia do ojczyzny nie okazywała. W ostatnich dniach pobytu ich w Frankfurcie, młody doktor prawie ustawicznie był u nich, a gdy odszedł, Małgorzata po całych godzinach siedziała w milczeniu nad książką, którą jéj Karol zostawił, i cichémi łzami karty jéj rosiła. Lecz nie ma się czemu dziwić, bo któż mógłby bez wzruszenia czytać Getego „Ifigeniją” lub Tassa»?

Wtém nagłe rozchorowanie się Kennedego odwlokło wyjazd całéj rodziny. Z początku zdało się, iż nie ma niebezpieczeństwa; atoli wrychle choroba wzięła zwrot bardzo zatrważający, a w tak szczęśliwém potąd kole domowém państwa Allen, zawitała ciężka żałoba. Ów młody i pełen nadziei mężczyzna, w najpiękniejszym kwiecie wieku, kochający i kochany; leżał na śmiertelném łożu! Byłoto okrutnym bolem dla niego, rozstawać sie tak wcześnie z życiem; lecz ci, którzy go przeżyć mieli, jeszcze srożéj na tém cierpieli.

W czasie tego smutku czynił sobie Karol Holchajzer ostre zarzuty, iż młodego Anglika posądzał

o samolubstwo, gdy przecież się okazało, że on teraz, jedynie dla ulżenia bolu i przestrachu téj, która ani na chwilę od jego łoża nie odstępywała, łagodnie śród najsroższych cierpień się uśmiéchał, albo błogiémi słowy o inném, lepszém życiu, gdzie już nie ma łez ni rozstania, z nadzwyczajną mocą duszy i rezygnacyją, żale jéj koił. Jego zupełne zrzeczenie się wszelkich samolubnych życzeń, poświęcenie się jego miłości, posuwało się tak dalece, iż prosił nawet kochankę, aby go sobie nigdy nie przypominała, aby go owszem na zawsze zapomniała, a była sama szczęśliwą. Jakże smutno było widzieć nieszczęśliwą Gertrudę, pobladłą, z wpół obłąkanym wzrokiem, chodzącą od jednéj osoby do drugiéj, i słyszéć ją zawsze pytającą się:

„Ojcze, Małgorzato, wszak prawda, że on nie umrze!?”

Ojciec nie śmiał nic na to odpowiadać; lecz Małgorzata, pełna młodocianej ufności, pocieszała ciérpiącą, mówiąc:

„Bóg łaskaw, droga siostro; módlmy się do niego, aby go nam zachował.”

I gdyby modlitwy mogły go były ocalić, Kennedy byłby pewnie nie umarł.

Prześliczny ranek letni jaśniał na bożym świecie, gdy w pokoiku chorego młodziana, wszelkie rozmaicie potąd mieniące się głosy nadziei, radości i bolu — nagle ucichły. A słońce, uśmiéchając się promiennie, przebijało się nawet przez zasłony u okna, świetlanym słupem, i zabłysło na zlodowaciałéj skroni zmarłego. Siostry, blade i drżące, z zakrzyżowanémi na piersiach rękoma, siedziały cicho w kącie, niemą przytłumione boleścią, podczas gdy ich ojciec, jakby w całéj swojéj wierze tym nagłym ciosem losu zachwiany, poważył się pytać opatrzności: dla czego to się stać musiało! Młode zieleniące się drzewo, padło zgruchotane, podczas gdy stary pień strupieszały, stał jeszcze cało.

Na pozór uspokoiła się Gertruda, chociaż wciąż okropna bladość na jéj malowała się licach! Nad wieczorem poszła do swego pokoiku, prosząc, aby nikt téj nocy do niéj się nie zbliżał, nie wyjąwszy nawet jéj młodéj siostry, która przekonana o bezskuteczności wszelkiego natrętnego pocieszania, przyrzekła Gertrudzie starać się o to, aby jéj nikt nie przeszkadzał.

Poczém można było wkrótce widzieć, jak smukła jakaś postać, osłonięta długim płaszczem, wymknęła się ukradkiem z domu, i zwróciła się ku cmentarzowi, na którym zwłoki młodego Anglika, spoczywały Jak przelotny cień wbiegła przez otwartą fórtkę, minęła liczne grobowce, i udała się do trupiarni, gdzie jakby dawna znajoma, chociaż po raz piérwszy, weszła do mieszkania Piotra Hofmana.

Starzec siedział sam jeden w izbie, ze wspartą o wyschłe ręce głową, tak iż gdyby nie ciężkie westchnienie, które niekiedy boleśnie z piersi mu się wydzierały; byłoby można mniemać, iż starzec usnął. Nieznajoma przyklękła u jego boku, opuściła płaszcz na ziemię, i okazała się być Gertrudą Allen. Starzec usłyszawszy jéj głos przyjemny, spojrzał na nią.

„Ach” — rzekł on nawpół do siebie — „Nié ma czego płakać; wkrótce jéj będzie lepiéj. Jest ona zbyt młodą, i ładną, aby miała umiérać”

Dziewica wzdrygnęła się mimowolnie, i spytała, o kim on mówi?

„O mojéj Paulinie” — ozwał się starzec — „albożeś pani nie słyszała? Chora, biédaczka; chora, moja mała, luba Paulinka. Ale niebo ulituje się nad nią, bo ona tak dobra, i tak młoda.”

„W Bogu nadzieja, że wyzdrowieje, gdy ją tak mocno kochacie” — rzekła Gertruda.

„Ach, tak; kocham ją, Bóg to wié, i będzie nad nami obojgiem miał miłosierdzie!”

„Ale dla czegoż jesteście teraz tutaj” — zapytała dziewica — „jeżli Paulinka w saméj rzeczy jest chorą?”

Starzec spojrzał ku dzwonkowi, wiszącemu tuż nad głową, i odpowiedział jak wówczas, gdy Gertruda po raz piérwszy go obaczyła:

„Pilnujemy umarłych!”

„Nic nie szkodzi; możecie przecież pójść do Pauliny„ — rzekła Gertruda — „ja zajmę téj nocy miejsce twoje, i będę tu czuwała.”

„Biédna, moja Paulinka” — rzekł starzec do siebie — „jakżeby się ucieszyła, gdybym teraz do niéj przyszedł. — Ale nie wiesz panna, o co prosisz Potrzebato dłuższego czasu, aby się oswoić z tym obowiązkiem, i mogłabyś się okropnie przestraszyć témi osobliwszémi głosy, jakie tu niekiedy się odzywają; lub mogłabyś także zasnąć.”

„Panie Hofman” — zawołała Gertruda, nachylając się ku starcowi — „jużeśmy się raz widzieli; nie przypominasz sobie?”

„Ach, tak, przypominam sobie teraz, gdy się bliżéj w panią wpatruję. Dałaś mi pani wtedy podarek, a moja Paulinka skakała wokoło mnie z radości jak sarneczka, gdym jéj za to pierników przyniósł.”

„Ale byłam wtenczas nie sama.”

„Tak, tak przypominam sobie wszystko; miałaś pani z sobą drugą, ładną panienkę, swoję siostrę, i młodego Anglika, żwawego, przystojnego mężczyznę, który cię na chwilę nie odstępywał.”

„Byłto mój narzeczony” — rzekła Gertruda dziwnie spokojnym na pozór głosem, „Teraz spoczywa tu obok nas w trupiarni.”

„Biédna panienko!” — ozwał się starzec z politowaniem.

„Będzież-że jeszcze się lękać, abym czuwając tu, nie zasnęła?»

Nie, nie będę; niech cię Bóg błogosławi i strzeże. Pójdę na chwilkę do Paulinki, aby tylko obaczyć, jak się miewa; a przed północą wrócę niechybnie.»

„Nie potrzebujesz się spieszyć; jam dość odważna; zostań przy Paulinie jak długo ci się podoba.»

„Gdybyś pani przypadkiem w nocy jakiś szmer albo jęk usłyszała" — upomniał starzec — „nie lękaj się tego, będzieto szmer ptaków na dachu, lub wiatr w kominie. Ale na dzwónek musisz dobrze i pilnie uważać, gdyż życie ludzkie mogłoby od twojego pośpiechu zależeć!»

„Jego życie!" — rzekła Gertruda z stałością — »Nie lękaj się niczego, staruszku.»

Piotr Hofman wyszedł, i zamknął drzwi za sobą; wnet usłyszała dziewica, jak i fórtka na podwórzu skrzypnęła; i sama już jedna została w pobliżu zmarłych.

Nie było jeszcze zupełnie ciemno w izbie; a gdy Gertruda ku oknu poszła, aby kwaterkę przymknąć, kroki jéj dziwnie w milczeniu nocy zatętniły. Stojąca na stole lampa rozsiéwała bladą, migotną poświatę, przy któréj kąty izby w tajemniczéj niknęły ciemności; obok lampy leżała biblija starca, a na niéj uwiędła równianka kwietna, ostatni upominek Paulinki, zanim zapadła w chorobę. Byłyto godła ziemskiéj i niebiańskiéj miłości — jednéj, tak szybko przemijającéj, drugiéj, nigdy nie zgasłéj, nieśmiertelnéj!

Jakto Piotr Hofman Gertrudę naprzód przestrzegł, dały się niebawem osobliwsze głosy w pustéj komnacie słyszéć — głosy jęczącego wiatru, szumiących drzew, które zawsze coś do szeptania z sobą miały, wreszcie szelest ptaków na dachu. Ale Gertruda nie lękała się bynajmniéj; myśli jéj nie zatrzymywały się w tém miejscu, i jakby to wczoraj było: widziała jego ukochane oblicze przychylające się ku niéj; słyszała jego niezapomniany jéj nigdy głos, proszący ją, aby czuwała przy nim, jeżliby umarł zawcześnie, i miał się do życia znowuż przebudzić! Zwolna rozpłynęły się jéj marzone widzenia, i zdało się jéj, iż usłyszała cichy, leciuchny dzwięk dzwónka, ale gdy wzdrygniona, w górę spojrzała, dzwónek się nie ruszył i wszystko było tak spokojne jak wprzódy, oraz przypomniała sobie, że starzec te dźwięki, nawet w milowéj oddali, nawet w biały dzień, pod jasném bożém niebem, a nawet we śnie słyszał — więc mniemała, że się jéj także tylko przysłyszało.

Światło lampy nocnéj, tam i sam wiatrem chwiane, odbijało się w fantastycznych cieniach na gołych ścianach izby. Wszakże nie same tylko te tańczące cienie zdały się ruszać, alboż się i drut od dzwónka także drząco nie ruszał? Dzwónek żadnego wprawdzie tonu nie wydawał, ale żelazny jego języczek widocznie tam i sam chwiał się. Gertruda przycisnęła obie ręce do gwałtownie bijących pulsów u skroni swojéj, spojrzała powtórnie na dzwonek, i obaczyła znowu toż samo ciche, bezdźwięczne drżenie. Skłoniła ku ziemi głowę, błagając Najwyższego, aby jéj zmysłów nie odbierał. Tu nagle, gdy tak modliła się na klęczkach, ozwał się dzwónek owym grobowym dźwiękiem, którego ten, co go raz słyszał, nigdy już nie zapomni! Jużto nie było snem; dzwónek jęknął powtórnie i głośno, jakby w rozpaczy, a potém cichł słabiéj i słabiéj. Gertruda jakby strętwiała, nie ruszyła się z miejsca. Aż oto jeszcze raz, po krótkiéj chwili uciszenia się, jęknął dzwónek przeraźliwie śród głuchéj nocy, a Gertruda wskrzyknąwszy okropnie, siliła się powstać, lecz naprożno; wlokła się po ziemi, przyczołgała się do drzwi trupiarni, i padła zemdlona na progu, gdy właśnie dzwónek po raz ostatni dźwięknął!

* * *

Paulinka była zdrowszą; lekki rumieniec okrasił znowu jéj lica; oczy wypogodziły się, i z wesołym uśmiéchem patrzyła na dziadka. A starzec wstawszy pocieszony, i dziękując panu Bogu, oddalił się od łóżeczka wnuczki, i powrócił nieco przed północą do trupiarni. Gertruda leżała tam jeszcze bez zmysłów na ziemi, co ujrzawszy, czynił sobie starzec ciężkie wyrzuty, iż ją samę zostawił.

»Biedna dziewczyna» — rzekł ze łzami — „nie dziw, iż nie mogła długo wytrzymać w tém miejścu śmierci i zgrozy."

To mówiąc, usiadł przy niéj na ziemi, gdyż nie miał dość sił, aby ją podnieść, i położył sobie głowę jéj na kolana, i silił się długo przywołaniem nieszczęśliwej do życia. Aż wreszcie otworzyła oczy, i spojrzała z przerażeniem wokoło.

„Czy słyszysz?"— przemówiła trwożnie do starca; gdy tenże chciał do niéj mówić. — »Jako, czyż nic nie słyszysz?"

„Cóż takiego, moja kochana panienko?"

„Dzwónek!"

„Nie, teraz nie;" — odrzekł stary, potrząsając głową— »ale często gdy go nikt inny nie słyszy»...

„Zadzwonił dziś w nocy" — rzekła dziewczyna z całéj siły — „i zapewne byłto znak przez niego dany, a nie było nikogo, coby mu spieszną dał pomoc i ocalił go! Jam była jakby zaklęciem do miejsca przykutą — a tak, zginął już, zginął!»

„To się zapewne tak pannie śniło» — rzekł Hofman, uspokajając nieszczęśliwą.

„Nie, nie; przysięgłabym na to! Może jeszcze czas, ale jam za słaba, aby tam pójść. Idź, idź, starcze, na miłość Boga, i ratuj go!»

Starzec wziął lampę, zostawił Gertrudę w ciemności na progu, a sam wszedł do komory, gdzie

trupy leżały, lecz nie brał z sobą lekarza, gdyż myślał, iż to się tylko Gertrudzie przywidziało. Szedł od jednego trupa do drugiego, i zaglądał w blade twarze umarłym, którzy nieruchomie sznurki od dzwonka między palcami trzymając, na wieki martwo leżały; aż przyszedł do trumny młodego Anglika, i gdy spojrzał — śmiertelny dreszcz go przeniknął. Ciało nieboszczyka leżało na bok zwrócone; twarz jego, przed wieczorem jeszcze tak spokojna i uśmiechająca się, była teraz konwulsyjnie wykrzywioną; w ściśniętéj, lecz skostniałéj już pięści, trzymał jeszcze sznurek od dzwonka, który miał mu ratunek przynieść! A gdy starzec tak w osłupieniu stał nad trumną, ozwał się nagle za nim dziki wykrzyk z ust kobiécych, a Gertruda padła bez życia na trumnę tego, którego kochała — i zabiła!

* * *

Lata upłynęły od owéj okropnéj nocy, a młody doktor po długiéj niebytności w ojczyźnie, przywiózł sobie z Anglii młodą kochającą go żonę, dla któréj był odtąd wszystkiém na świecie, gdyż nikt z kochanych jéj niegdyś osób, już nie żył.

Piérwszém miejscem, które młodzi małżonkowie w Frankfurcie odwidzić pospieszyli, był cmentarz, gdzie pojedyńczy głaz grobowy oznaczał miejsce spoczynku Kennedego, podczas gdy świeży wieniec na grobie świadczył, iż nie był jeszcze zapomnianym. U stóp mogiły klęczała dziewczyna, do któréj młody doktor, jako do znajoméj z dawniejszych lat przemówił. Byłato wnuczka starego trupiarza, który, jakto Paulina teraz opowiadała, także już umarł.

»Pójdź Małgorzato» — ozwał się Karol Holchajzer do swojéj młodéj żony, która zawsze jeszcze nad grobem płakała — »czyżeś mi nie przyrzekła, być spokojną?»

„Tak, mój Karolu, uspokoję się, przebacz» — odpowiedziała Małgorzata, i wzięła podane sobie ramię, aby odejść powoli.

»Jeszcze chwilkę!» — ozwała się Paulina. „Powiedźcie mi tylko, czy biédna Gertruda jesze żyje?»

»Nie» — odrzekł doktor.

»Dzięki Bogu!» — szepnęła dziewczyna. »Są więc znowu połączeni.»

„Czy słyszysz, Małgorzato?»

„Ach, słyszę, i wiem, że mój smutek nadaremny, i powinnam raczéj być wdzięczną niebu za spokój, jakiego już dostąpiła!»

I tylko z cichą już uległością woli Najwyższego, wspominała Małgorzata odtąd o uspokojonéj na wieki siostrze i zawcześnie zmarłym jéj oblubieńcu.

Osobliwsze przykłady przeczucia ludzkiego.

Owa tajemnicza władza, która źwiérzętom jakby niewidomy duch opiekuńczy przewodzi, objawia się niekiedy u ludzi głosem ostrzegającym. *) Atoli wyrażenia się tego wewnętrznego głosu duszy ludzkiéj są nierównie wyższéj i cudowniejszéj natury od źwierzęcego instynktu. Gdy bowiem instynktowe czynności źwiérząt albo z zewnętrznemi zjawiskami otaczającéj je przyrody się wiążą — z zjawiskami, które jakkolwiek niedoścignione naszym zmysłom, zawiérają już przecież w sobie zaród pewnego przyszłego zdarzenia w przyrodzie — albo mogą wcale uchodzić

*) »Głos taki bywa, w tém nie ma wątpienia,
Przestrogi jednak nie dam mu imienia,
Bo zawsze tylko *nieochybne* gada.«
Wallensztein, *Szyller*.

Wizja —, sen proroczy —, sen selenogamiczny —, i t. d. są to pojawy zarodnych przymiotów duszy. W takim momencie, t. j. w takiém mieniu się duszy, nasze »Ja« spekulacyjne, przez refleksyję odźwierciedlone; nie jest samodzielne, czynne, wolne, lecz bierne i konieczności powszechnéj natury, podległe; ztąd idzie: że w takim razie, od skutku do przyczyny, odnieść się trudno. — Przeczucie nie jest to skutek czucia zmysłowo zwykłego, lecz bezpośrednia, nieupojętniona sobie wiedza, w któréj przyszłe z obecnym, zmysłowe z nadsmysłowóm, szczegółowe z ogółowém, zewnętrzno z wewnętrznóm, jakby wszelka i różnoliczna liczba, w jedném *zero*, zamkniętą była. — »*Membra sumus corporis magni.*« — *Potest provideri, quidquam futurum esse, quod neque causam habet ullam, neque notam, cur futurum sit.* — Takie mienie się, nie jestto nasze »*JAM*« nie jestto: *ratio*, *anima*, *sensus*; nie jestto: jedno nie jedno a jedno; ale jest: jedno w jedném jedno; pięć smysłów jednym smysłem. *Allsinn.* Tu nie działa rozum, ale sam um. *Ver-n-sinn.* Tu centrum, promień, i koło, ta różnica rozumu, jest wprawdzie, ale téj trójlicznéj prawdy, rozum nie może rozeznać, bo jego władza nie jest samo-dzielna, bo ją wyższa, jedna władza owładnęła. —

»W życie człowieka czasem chwila wpływa,
Że z duchem światów większą przybliż miewa.«

Taki moment przeczucia dałby się podług zarodno-filozoficznéj przymiotowości języka naszego, tak n. p. wyrazić: ja czuję, że mi się czuje, ja widzę, że mi się widzi, ja wiém, że mi się wié; ale też wiém zarazem, że to wiedzenie, nie jest moje własne, i że go mieć muszę, i że, chociażbym go mieć nie chciał, chce mi się jakoś mieć koniecznie. — Tu matka psychologija, dla swéj córki gramatyki daje skinienie: że to Się, to Sie-M, organiczno ładne i harmonijne; jest owo coś, czém się wszelkie coś staje; że potąd nie może być coś, pokąd nie ma się wprzód samo już sobą w sobie czemeś być i stać się; a zatém, to *reciprocum*, to *inchoativum*, to wszczynające: *Sie-m*, jest środkiem zaczęcia; jest: środkiem środka w środku *w środek.* Ten środek genetyczny, daje poznać: że wprzód było »Mnie-siem« nim się z niego wyrobiło »Jamsiem« i że »Mnie« *genitivi*, nie idzie od Ja, rozumem umiejętnie wyrobionego; ale od Jam, z duszą i ciałem genetycznie przez sie-m, osobowego, i że w tém symboliczném słowie *M*, mieszka dusza

za ciemne przypomnienia dawnych stopni rozwoju własnego życia i jego potrzeb; a zatém mają niejakie podobieństwo ze zwyczajném, aczkolwiek trudném do rozwiązania zadaniem rachunkowém: przeciwnie zaś czynności i wewnętrzne natchnienia przeczucia ludzkiego; nie przypuszczają najmniejszej możliwości dopatrzenia w ich zawiłości jakiegokolwiek związku i składu. Częstokroć są one też dla tego rozumowi niepojęte, iż pojawiają się zupełnie bez celu, że obrazy ich zabłysną nieraz przed duszą tak przypadkowo, jak widok przechodzącego człowieka, którego na ulicy spotykamy. Cóż bowiem za pożytek ztąd dla Anglika Williamsa lub dla innych, jeżli jemu, w odległém jego mieszkaniu w Scorrierhouse, spoczywającemu we śnie; zamordowanie lorda-podskarbiego Parcevala, tak wyraźnie objawioném zostało, jakby to sam czuwając na własne oczy był widział? Albo jakiż cel mógł być w tém, że Szkot Jakób Lodin. leżąc na śmiertelném posłaniu; przeniesionym został w duchu na miejsce, gdzie w téjże saméj chwili, Jakóba Vgo mordowano? Ztémwszystkiém nie brak też mnogich przykładów, gdzie przeczucia ludzkie zdają się być natchnieniem anioła-stróża, i jużto tym samym osobom, które tych przeczuć doznają, jużto za ich pośrednictwem, innym ludziom za przestrogę, za środek do ocalenia z blizkiego niebezpieczeństwa służą.

Dr. Böhm, niegdyś profesor matematyki w Marburgu, był z gruntu rozsądkowym, trzeźwym człowiekiem; wszelkie mrzonki i domysły, nie polegające na stałych matematycznych zasadach, mierziły go serdecznie. Jednego razu zaprasza go jeden z kolegów, aby wraz z innymi przyjaciołmi wieczór u niego spędził. Sproszeni goście przybyli dość wcześnie i bawili się w najlepsze przy kawie i lulce, gdy oto nagle matematyka naszego osobliwsza niespokojność ogarta. Zdaje mu się, iż musi koniecznie wrócić do domu i pójść do swego pokoju. Naprożno chce sobie tę niepotrzebną myśl wybić z głowy; nie ma w domu nic do czynienia, tu bawi się przyjemnie z przyjacioły, a rozrywka ta, jest dla niego, samotnie żyjącego człowieka, rzadką pociechą. Atoli mimo wszelką uwagę, mimo wszelkich usiłowań poskromienia téj śmiesznej niespokojności, niepodobna mu było zostać; musi niezbędnie wyjść, pożegnać się pod błahym pozorem z towarzystwem, i wracać do domu. Przybywszy tam, siada w kącie skwaszony, i sam sobie z niechęcią pytanie zadaje: co go spowodowało, opuścić przyjemne towarzystwo, i nudzić się tu w samotności? Wtém obudza się w nim znowu poprzednia niespokojność; przychodzi mu do głowy, aby przesunąć łóżko z miejsca, na którém oddawna stało, a ustawić je w przeciwnym kącie pokoju, gdzie teraz biurko stoi. Nadaremnie sprzeciwia się zdrowy rozsądek temu wybrednemu zachceniu; jak dawno profesor w tym domu mieszka, zawsze łóżko stało w owém miejscu, które istotnie było dla niego najdogodniejszém; równie jak i dla biurka nie masz lepszego kąta, jak właśnie ten, w którym potąd zostawało. Ztémwszystkiém, widzi się to profesorowi koniecznością, i woła służącego, z którym oba te sprzęty z dawnych miejsc wziąwszy, przesuwa łóżko na miejsce biurka, a biurko na miejsce łóżka.

Co gdy się stało, uspokaja się nasz profesor, zapomina zupełnie o dręczącej go przed chwilą dziwnéj trwodze, idzie znów wesoł na wieczór do przyjaciół, i zabawiwszy tam kilka godzin, wraca po 10téj godzinie do domu. Tu widzi z niechęcią, iż na innem wcale miejscu niż zwyczajnie spać musi, i gdyby się był przed starym służącym wyznać tego nie wstydził, byłby rad łóżko na dawne miejsce przesunął. Wszakże zostawia na dziś jeszcze wszystko w nowym porządku, kładzie się spać, i wnet głęboko zasypia. Aż tu z północy budzi go łoskot okropny: nad témsamém miejscem, gdzie łóżko wczoraj stało — załamała się powała, a spadające belki i rumowisko, zgruchotały ze szczętem ustawione tam biurko; gdyby nie przesunięcie łóżka, byłby ten sam los spotkał biédnego profesora. —

Częstokroć podobne przestrogi przeczuciowe tyczą się niebezpieczeństw, które wcale innym osobom grożą, jakto np. w opowiadanym przez panią Beaumont przypadku widzimy. Pewien jegomość chciał koniecznie w towarzystwie przyjaciół przejechać się w małym statku po rzece; wtém przybiega jego głuchoniema siostra, i zaklina go usilnie błagającémi ruchami, a nawet do nóg mu się rzuca, aby tego przedsięwzięcia zaniechał. Sami przyjaciele, litując się gwałtownéj niespokojności głuchoniemej, popiérają jéj prośby; aż wreszcie brat, z widoczną niechęcią pozostaje na lądzie. Jednakże wkrótce niechęć jego ustąpiła innemu wcale uczuciu, gdyż nieszczęśliwym przypadkiem przechybnęła się łódka, siedzące w niéj osoby wpadły w wodę, a kilka z nich utonęło; któreto nieszczęście byłoby się niewątpliwie i bratu głuchoniemej przydarzyło, ile że pływać nie umiał, i był zresztą powolnym i nieukładnym.

W tym razie przynajmniéj blizko pokrewne życie przeczuciem siostry ocalało; nierzadko zaś służą takowe wewnętrzne natchnienia do zbawy zupełnie obcych, nawet nigdy przedtém niewidzianych ludzi. Z wielu tego rodzaju przykładów przytaczamy tylko jeden, udzielony nam przez tajnego radzcę Hollmersa.

Pewien majętny obywatel, miłośnik życia wiejskiego, i zamieszkujący piękną wilę z ogrodem; nie mógł jednego razu do późna w nocy zasnąć. Przywidziało mu się, iż musi koniecznie wstać z łóżka i wyjść do ogrodu. Nie ma on tam wprawdzie nic do czynie-

---

trójtonna w ciele czworotonnym.— Somnambulizm, lunatyzm, jestto życie we śnie, wpół czuwające, wpół śpiące; bo chociaż ponocnik ma smysłowe organa zamknięte, przecież pobiera wrażenia zewnątrz — »*Dormientes agunt, quae somniant.*« Jednakże ten akt ujemno-czynny, mniej nas dziwi, gdy zważymy: że są zwierzęta niższej klasy, takiego rodzaju, które żadnego smysłowego organu, a nawet żadnego nerwu, nie mają, a przecież najtkliwszem czuciem obdarzone; ztąd wynika: że czucie nie jest bezwarunkowo koniecznie od samych tylko smysłowych organów zawisłe.— Sen proroczy, jestto akt w stanie czuwającym, bez żadnych poprzednich wniosków, lecz sama czysta bezpośrednia *przewiedza* ducha. — Wizja różni się od przeczucia, jak się różni imaginacyja od uczucia; jedno i drugie dzieje się sympatyją, to jest, przyczuciem; jedno i drugie dzieje się przez jeden akord wewnątrz, ale jedno mniej, drugie więcej smysłowo zewnątrz. Imaginacyja obrazuje uczucie, a uczucie, czuje obraz. — Wizja — jestto Fantazyja spowinowaconych idej; jestto iż tak powiémy zagrobowa *Fata Morgana* drogich i harmonijnie spokrewnionych sercu naszemu postaci; świetlistą łuną — widem tamtego świata — w duszy naszéj odbitą. — »*Wie die Körperwelt, so bildet auch die Geisterwelt ein in sich verbundenes Ganzes; denn auch die Geisterwelt ist von dem Allgemeinem Gesetze des Universums nicht ausgenommen.*« — (Przyp. Red.)

nia, darmo się będzie trudził, więc usiłuje pozbyć się tego dziwacznego zamysłu. Jednakże nie może go żadnym sposobem stłumić w sobie, osobliwsze to przywidzenie wzmaga się coraz gwałtowniéj, i wygania go istotnie z łóżka. Gdy się zaczął ubiérać, budzi się żona, i pyta, dokąd tak późno wychodzi? Dla zaspokojenia żony odpowiada, iż chce zanieść do cieplarni kilka wazonów z przepysznémi goździkami, które na dworze zostały. Wszelkie przedstawienia żony, że noc ciepła, że się ani wietrzyk nie ruszy, na nic nie służą. Mąż wychodzi w milczeniu do ogrodu, gdzie tożsamo wewnętrzne wzruszenie, które spać mu nie dało, prowadzi go do tylnéj fórtki ogrodu; a ztamtąd ścieżką, polami, na przyległy wzgórek. Stanąwszy tam, słyszy w niejakiéj odległości głośne wołanie o pomoc. Spieszy więc za głosem, i przybywa do sąsiedniéj kopalni węgli kamiennych. Odzywający się ztamtąd krzyk pochodził od chłopca górniczego, który z ostatniém wytężeniem sił wszystkich trzymał rękojeć korby, którą wiszący na spodzie kubeł do góry windowano. Ojciec chłopczyny, wyłażąc po drabinie z głębi, pośliznął się był na przedostatnim szczeblu, i lecąc w przepaść, zatrzymał się o kubeł, który wisiał nad bezdnem, a podwójnym ciężarem węgli kamiennych, i leżącego na nim górnika tak bardzo był obciążony; iż chłopiec na wierzch go wywindować nie był w stanie. Gdyby nie ów jegomość, który tak dziwném spółczuciem tu przywiedziony, natychmiast silną ręką pomógł biédnému chłopcu; musiałby on był lada chwilę korbę z rąk wypuścić, a ojciec jego byłby o twarde ściany zgruchotany, spadł w przepaść.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 16ty i zawiéra: 1) Hieronima Kunaszowskiego rzecz krótka o budownictwie wiejskiem. 2) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 3) Uwiadomienia potoczne.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 9ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Salon i ulica. Obrazek z życia, przez Józefa Dzierzkowskiego. (Ciąg dalszy). 2) Pustynia, naśladowane z francuzkiego przez Ludwika Bużynę. Wiersz. 3) Liszt we Lwowie. 4) Odpowiedź na odpowiedź. 5) Rozmaitość.

Pogrzeb p. Mars, która przed kilką tygodniami w Paryżu umarła, odbył się z nadzwyczajnym przepychem dnia 26 marca. Końce całunu nieśli panowie de Kératry, par Francyi i wice-prezydent komisyi teatrów królewskich; Viennet, par Francyi i prezes stowarzyszenia autorów; Auber, dyrektor konserwatoryjum królewskiego, i Samson, prezes stowarzyszenia artystów dramatycznych. Naprzód szli panowie Liadière, deputowany i oficer ordynansowy króla, i baron Taylor. Za nimi postępywali wszyscy członkowie »Teatru francuzkiego«, wielu członków wszystkich innych teatrów, wielkiéj opery, komiczńéj opery, Odeonu, teatru włoskiego i t. d. Między innymi byli tam Aleksander Dumas, Eugene Sue, Jules Janin, Felix Pyat, Frydryk Soulie i t. d. Nie widziano tylko pana Scribe, autora »Waleryi« jednéj z najświetniejszych ról zmarłéj. Prócz niezliczonego tłumu malarzy, rzeźbiarzy, kompozytorów, wirtuozów i t. d. przyłączyło się jeszcze kilka tysięcy osób do orszaku pogrzebnego. Natłok ciekawych był niezmierny. Przeszło 40 powozów jechało z tyłu, a w nich artystki »Teatru francuzkiego« tudzież innych teatrów, wszystkie w grubéj żałobie. Panowie Kératry, Taylor i Samson mieli stosowne mowy nad grobem. — Nieboszczka miała lat 68, a grała przez lat 58, odtrąciwszy rok 1843, w którym z powodu śmierci swojéj córki nie występywała na scenie. Znany autor Roger de Beauvoir wyda wkrótce »Pamiętniki o p. Mars.« — W oznakę żałoby był »Teatr francuzki« w dzień pogrzebu zamkniętym. —

»Gdy mu i ziemia i czas piękny sprzyja,
Ziarno laurowe w wieniec się rozwija.
Cóż po tobie słowiku, co z twéj śpiewnéj sztuki,
Kiedyś na dzikim lesie, zadzióbią cię kruki!«

Uśmiéch na twarzy melancholijnéj, jestto biała wstążeczka, jaką się żałobne suknie lamują.

Kwiat magnesowy. Według wiadomości w pismach angielskich, rośnie na stepach w Teksas mała roślina, która czyto w czas słoty, czy mrozu lub upałów, zawsze niezmiennie ku północy liście i kwiat obraca, i tak służy wędrowcy, któryby w owych nieprzejrzanych pustyniach bez kompasu lub gwiazdy przewodniczéj niechybnie zginął, za nieomylną skazówkę drogi.

Pociecha. W pewném miasteczku odjęto pacyjentowi rękę, za któréj pogrzebanie grobarz zapłatę na nim wymógł. Właściciel ręki pozwał grobarza o to do sądu, lecz magistrat odpowiedział, iż od zapłaty za pogrzeb ręki, nie może strony powodowéj uwolnić, zostawuje jéj wszakże prawo odciągnienia sobie przy śmierci téj kwoty od zapłaty, jaka się będzie stronie przeciwnéj za pogrzebanie reszty ciała należéć.

Cukiernicy i piernikarze w Paryżu mają obecnie niemały udział w ruchu literackim, zachęcają poetów, upowszechniają piękne myśli, rozprzestrzeniają oświatę. Już teraz i z latarnią nie znajdziesz na cukierkach owych kusych dwuwierszowych rymów; natomiast rozwinąwszy jaki przysmaczek, możesz przeczytać zaraz na okładce ustęp z Wiktora Hugo, dumanie Lamartina, piosnkę Beranżera, albo dytyramb Maury'ego. Tym sposobem i żołądek i umysł jednocześnie się posilają.

Jedwab' czy konopie? Pisma włoskie donoszą, iż ostatniémi czasy w materyjach jedwabnych dają się dostrzegać blichowane nici konopne. Dla przekonania się więc o prawdziwości podobnych materyj, jest według pewnego dziennika medyjolańskiego, tylko jedna próba: zawiązać sobie taką materyją np. chustkę, wkoło szyi, i zawiesić się na niéj całym ciężarem ciała; jeźli chustka się rozedrze, tedy jestto dowodem, że materyja była fałszywą; jeźli zaś wytrzyma, tedy można być pewnym, iż towar był prawdziwym.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.